

Esencja

przełożyła Wiktorja Bartkowska

Wszystko zaczęło się w dniu, kiedy po popełnieniu tego haniebnego czynu, spojrzął na swoje odbicie w lustrze i zrozumiał, że nie jest siebie godzien. Przez całe życie stawiał w swoim sercu i głowie kolejne mury, czasem po to, by się przed czymś chronić, czasem po to, by udawać kogoś, kim nie był.

W tym momencie nie wiedział już kim naprawdę jest. Tak wiele warstw uczyniło go obcym dla samego siebie. Nie poznawał się, a przynajmniej tego, co widział; tego, co mógł zaobserwować w swoim zachowaniu, gestach, postawach, w swojej istocie i sposobie bycia, wszystko to wydawało mu się głęboko niestosowne, wulgarne, albo po prostu nieprzyzwoite i zepsute. Nie chciał już być częścią swojego życia, należeć do niego.

W pierwszej chwili pocieszał się hipotezą, że może to nie był on. Że może nastąpiło jakieś zjawisko paranormalne i ktoś o wrażliwym i uczciwym duchu wyłądował w tym odrażającym ciele, w tym złowrogim mózgu. Być może było to diabelskie opętanie, ale na odwrót. W ciele diabła została umieszczona czysta, przyzwoita, cierpiąca istota. Ta hipoteza wydała mu się tak pociągająca, że poszedł do egzorcystki. Wciąż słyszy jej głośny śmiech. Według niej żaden anioł nigdy nie opętałby demona, one miały o wiele bardziej wyrafinowany gust i poleciła mu, aby natychmiast udał się do psychiatry.

Oczywiście, że tak, poszedł do terapeuty, znanego lekarza z dziedziny psychologii i psychiatrii, eksperta w dziedzinie sofrologii. Następna rzecz, której później żałował. Psycholog odebrał mu wszelką nadzieję. Sesje hipnozy, należycie nagrane, jasno dały do zrozumienia, że był sobą, a na terapii regresywnej, podczas której cofnął się do nastoletnich lat, jego wspomnienia potwierdziły tę chęć do ukrywania się, zaprzeczania, udawania, że jest się kimś innym, bardziej okrutnym, perwersyjnym, bardziej złym.

Był Dorianem Grayem, reinkarnacją Fausta, kimś, kto zdeprawował swoją duszę, ale przecież nawet nie zawarł paktu z diabłem, w zamian za nagrodę taką jak długie życie w luksusie, pełne przyjemności czy coś w tym stylu... Zamiast tego jego zachowanie było podporządkowane jedynie czemuś tak małostkowemu i wulgarnemu, jak unikanie drobnych przykrości, nieporozumień i niepowodzeń życia codziennego.

Potrzebował umrzeć i zmartwychwstać, aby na nowo odkryć swoją esencję, tę świadomą, zawstydzoną, szczerą, skruszoną osobę, którą wciąż był w jakimś ukrytym zakątku swojej duszy. Jednak zmartwychwstanie wydawało się raczej nieprawdopodobne dla kogoś, kto nie był dzieckiem Bożym, a jego ojciec, górnik, którego prawie nie znał, miał więcej wspólnego z piekłem niż z niebem. Zapamiętał go jako zawsze milczącego, pijanego i bladego jak trup, pod czarną sadzą, która pokrywała jego skórę i w końcu go zabiła.

Zaczął czytać wszystkie książki i oglądać wszystkie filmy dokumentalne i seriale telewizyjne o możliwym życiu po śmierci. O zombie, o mumiach, o Walcie Disneyu i jego kriogenicznym zamrażaniu, o pozornych zgonach. To właśnie w Grze o Tron, w ostatnim sezonie, w scenie bitwy o Winterfell, doznał oświecenia. Główny bohater, Jon Snow, zanim zmierzy się z Nocnym Królem i jego armią żywych trupów, wypowiedział te słowa: "umiera się wtedy, gdy traci się pamięć". To było to! Musiał zapomnieć o osobie, którą był do tej pory, unicestwić ją i obudzić się z innymi wspomnieniami, z inną pamięcią, innym sobą.

Jednak przeprogramowanie pamięci, przynajmniej na początku XXI wieku, również nie wydawało się możliwym rozwiązaniem. Istniały leki, które uspokajały, dezorientowały. Inne, przyjmowane w nadmiernych dawkach, jeśli nie zabiły, mogły wywołać trwałe stany paranoidealne, ale obietnica wyzdrowienia w innej skórze i umyśle była więcej niż nieprawdopodobna.

Utrata pamięci i wspomnień miała jednak wiele wspólnego z otoczeniem. Inni ciągle przypominali ci kim jesteś. Mógłby zmienić ulicę, miasto, a nawet kraj. Miejsce, gdzie nikt by go nie rozpoznał i gdzie nikt z jego znajomych nie chciałby zamieszkać. Tego ostatniego nie można było jednak zagwarantować, a poza tym był jeszcze on sam. Codziennie, przed oknami, witrynami sklepów, lusterkami wstecznymi, telefonami komórkowymi, sadzawkami, widział odbicie swojego fatalnego wizerunku: to ty, Carl, ty sukinsynu.

W trakcie tego całego procesu nabawił się pewnego rodzaju autofobii i w ciągu ostatnich kilku tygodni sam widok własnej twarzy przyprawiał go o mdłości. Jego zdjęcia już dawno zostały spalone, a on sam usunął wszystkie lustra w swoim domu, ale na nic się to zdało. Jego własne okulary, których nie mógł się pozbyć z powodu zaawansowanej krótkowzroczności, były bronią, która nieustannie ukazywała mu jego wizerunek. I nawet gdyby udało mu się zmienić twarz, nawet głos, to co by się stało z tym głosem w głowie, który w każdej chwili przypominał mu skąd pochodzi, co zrobił i jaką amoralną istotą się stał. Jak wywołać u siebie amnezję, a potem obudzić się jako ktoś inny?

Musiał zacząć od najprostszej rzeczy, zmiany fizycznej i życia w odległym kraju, pozbawionym związków kulturowych z jego własnym. Potem rutynowe przyjmowanie środków odurzających, które stopniowo sprawiają, że zapomni o tym kim jest. I wreszcie ktoś, kto go uratuje, kto pomoże mu odbudować jego nowe ja. Ale co by się stało, gdyby znów zmienił się w podłą i nikczemną istotę, jaką był w tamtej chwili? Jak mógł zagwarantować, że w nowym życiu będzie uczciwym, etycznym człowiekiem o solidnych wartościach moralnych? Potrzebował godnego zaufania pomocnika, kogoś, kto czuwałby nad procesem przemiany, a potem zniknął bez śladu.

Poznał Marcela około 25 lat temu, podczas służby wojskowej. Po odejściu z mundurówki widywali się i pisali do siebie bardzo rzadko, ale zawsze istniała między nimi niewidzialna linia sympatii i więzi. Kiedy widzieli się po raz ostatni, przypadkowo na chrzcie, powiedział mu: "bracie, gdybyś czegoś potrzebował, wiesz, gdzie mnie znaleźć". Cóż, będzie go potrzebował. I oczywiście zapłaci mu sowicie za tę usługę. Marcelo był drobnym agentem ubezpieczeniowym, a Carl zarobił sporo pieniędzy na swoich podejrzanych interesach. Podarowanie mu tej brudnej forsy w zamian za zbawienie duszy byłoby sposobem na uzyskanie rozgrzeszenia.

Wystarczyła rozmowa telefoniczna i wspianały lunch w eleganckiej restauracji, aby go przekonać. On by się wszystkim zajął. Operacja plastyczna szczękowo-twarzowa; operacja skrócenia strun głosowych tak, aby drgały więcej razy na sekundę, dzięki czemu uzyskają wyższą wysokość dźwięku; nowe dokumenty i nowe nazwisko; rutynowa kuracja Rohipnolem, lekiem, który w odpowiednich dawkach popijany alkoholem, gwarantuje amnezję w krótkim czasie. Bilety lotnicze i wynajęcie mieszkania w nieznanym miejscu na Bliskim Wschodzie, gdzie ani język, ani kultura, ani religia nie miały nic wspólnego z jego własnym życiem, wspomnieniami i doświadczeniami. W tym nowym kraju intensywnie stosowałby leczenie amnestyczne. Dopiero gdy Marcelo zobaczyłby, że utrata pamięci jest skuteczna i nieodwracalna, zostawiłby go, by już nigdy więcej go nie zobaczyć.

Po trzech latach, a zaledwie kilku minutach w jego świadomości, Adil, dawniej Carl, jak co dzień wracał ze spaceru z parku leżącego naprzeciwko jego mieszkania. Próbował otworzyć drzwi, gdy po schodach weszła sąsiadka z 1a na trzecim piętrze w towarzystwie nastoletniego syna. Adil stał z boku, odwrócony plecami, tak by mogli przejść przez wąski podest, a on nie musiał się do nich odzywać. Nie mógł nie usłyszeć słów chłopaka, które ten wypowiedział do matki, gdy go mijał.

-To jest Carl.

-Nie gadaj bzdur, Pablito, Carl odszedł lata temu. Ten człowiek ma na imię Adil i pochodzi z Arabii.

-Ale pachnie tak samo jak Carl.

-Co ty wiesz o zapachach? Nawet nie używasz wody kolońskiej, którą dała ci ciocia Rosario!

W jednej chwili wszystko runęło jak domek z kart. Marcelo zaryzykował i odesłał go do jego własnego domu, aby zatrzymać pieniądze na podróż i zakwaterowanie, przekonany, że Carl nigdy nie odzyska pamięci.

Stał się Carlem, którego tak bardzo nienawidził i którym gardził. Wszedł do swojego mieszkania i usiadł na kanapie, przypominając sobie każdy zakamarek domu, centymetr po centymetrze. Po kilku minutach konsternacji zaczął czuć się inaczej, poczuł się dobrze we własnej skórze.

W końcu kto lepiej niż Carl mógłby zamordować Marcela, bez cienia poczucia winy czy litości.